

Edward Strun

NADIR

Morderca!
Człowiek w płomieniach

Morderca!
Zajrzałem w oczy żywego nieboszczyka

To wciąż ta sama gra – przetrwanie
Nieliczony tłum bawi się w nią odwlekając
Kalectwo i śmierć w strachu przed cierpieniem
Poczucie wolności odeszło

(...)

Podaruj mi sześćdziesiąt dziewięć lat
Kolejne życie w tym piekle
Gdzie rządzą seks i śmierć
Wypełniając plan matki natury

Niczym Prometeusz jesteście związani
I przykuci do skały zwanej nowym wspaniałym światem
Bóg dawno nas opuścił

Dead Can Dance (Lisa Gerrard, Brendan Perry),
Tekst utworu „Black sun” w przekładzie autora

CZĘŚĆ PIERWSZA
LOT

Lubię przychodzić do sektora zieleni. Przebywanie tutaj jest przeżyciem niemal mistycznym. Mimo iż znajduję się tak daleko od domu, mogę napełnić płuca świeżym powietrzem i, zrzuciwszy wszelkie krępujące mnie okowy, znów być wolnym. Są to jednak chwile skradzione losowi, tylko nieznacznie zmniejszające poczucie straszliwej izolacji, której zostałem poddany. Centralną, najrozleglejszą część sektora porasta równikowa dżungla, wiecznie zielone drzewa lasów deszczowych, które bezustannie wypuszczają młode pędy, wydzierając temu miejscu coraz większą przestrzeń. Za każdym razem, gdy tu zaglądam, odnoszę wrażenie, że wierzchołki mahoniowców oraz palm olejowych są bliżej lamp zawieszonych pod sklepieniem. Hurmy i bananowce nieprzerwanie rodzą nowe owoce w tak dużych ilościach, że nie jesteśmy w stanie wszystkich zebrać. Większość pada na ściółkę, pomiędzy rozłożyste paprocie, gnijąc tam powoli i użyźniając glebę. Liany i filodendrony fantazyjnie oplatają porośnięte mchem pnie oraz konary wysokich drzew. Z pozoru najprawdziwsza, tropikalna dżungla. Ale wystarczy pobyc tu nieco dłużej, wsłuchać się w odgłosy, popatrzeć uważniej, by przekonać się, iż nie jest to naturalny ekosystem. Najpierw każdego odwiedzającego zastanowi przejmująca cisza: żadnego brzęczenia owadów, śpiewu ptaków, porykiwań małpiatek, szmeru liści poruszanych wiatrem. Nawet komuś, kto nigdy nie był w którymś z równikowych rezerwatów przyrody – ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie można zobaczyć resztki autentycznych lasów deszczowych – brak jakichkolwiek dźwięków wyda się podejrzany. Następnie w oczy rzuci się bezruch, martwota tego miejsca. Wszystko tu jest niczym pojedynczy kadr wycięty z filmu. Wiatr nie kołysze zwisającymi z drzew lianami, liście nie falują, delikatna bryza nie owiewa twarzy. Po stwierdzeniu tego faktu, każdy instynktownie spojrzy w górę, wypatrując szkwału szalejącego w czubkach drzew, lecz tam także nie dostrzeże ruchu. Nie zobaczy również błękitnego nieba, jedynie oślepiające, zimne światło lamp. Wówczas nikt nie będzie miał już wątpliwości, że znajduje się wewnątrz sztucznego tworu, skrawka lasu wyhodowanego przez człowieka – a w zasadzie przez jego komputery i maszyny. Teraz wystarczy tylko dokładniej przyjrzeć się dżungli, żeby dostrzec kolejny szczegół: pionowe kominy systemu wentylacyjnego, przecinające regularną siatką las i wpadające do zbiorczych przewodów pod sklepieniem. Niełatwo je zauważyć, ponieważ filodendrony, liany oraz młode gałęzie mahoniowców oplotły je szczelnie, jakby chciały ofiarować załodze Nadira jeszcze więcej życiodajnego tlenu. Od czasu do czasu Joe i ja musimy

karczować rośliny, które zanadto zapędzają się w swych zamiarach, zatykając czerpnie powietrza. Poza tym w tej części sektora nie mamy zbyt wiele pracy; oprócz wycinania chaszczy i zbierania owoców do naszych obowiązków należy podlewanie dżungli w sekcji C, gdzie awarii uległy automatyczne zraszacze. O całą resztę dba pokładowy komputer.

Mnóstwo czasu za to spędzamy w zewnętrznym pierścieniu sektora zieleni. W obszarze tym, oddzielonym grubą ścianą od strefy centralnej, panują zdecydowanie bardziej przyjazne dla człowieka warunki: chłodniejsze powietrze, mniejsza wilgotność. Hodowane są tu przede wszystkim drzewa i krzewy owocowe; nieopodal metalowych ścian rosną grusze, jabłonie i wiśnie, nieco dalej, w odrębnej sekcji, krzewy pomidorów, żurawin, porzeczek i malin. Wszystko jest ładnie uporządkowane i rozmieszczone w regularnych kwadratach, pomiędzy którymi biegną wąskie ścieżki. Joe i ja podlewamy te rośliny, troskliwie je pielęgnujemy, poświęcamy im mnóstwo czasu, natomiast one odwdzięczają się słodkimi owocami. Choć wcześniej, na Ziemi, nie pasjonowałem się ogrodnictwem, teraz naprawdę pokochałem to zajęcie. Owe prozaiczne czynności dodają mi otuchy i zajmują myśli, chroniąc przed szaleństwem.

Nieustanne głędzenie Joego, przez swą monotonię, sprawiło, że od dłuższego czasu pogrążony byłem w rozmyślaniach i puszczałem mimo uszu wszystkie nieciekawe, wielokrotnie już przeze mnie słyszane historyjki z jego życia. Często drażniła mnie nadmierna gadatliwość tego wątego rudzielca, która wychodziła na jaw zawsze dopiero wówczas, gdy zostawaliśmy sam na sam. Jednak nigdy nie okazywałem mu podenerwowania, ponieważ wiedziałem, że jestem jedyną osobą, z którą może porozmawiać. A w zasadzie jedyną, do której wolno mu się bezkarnie odzywać. Z zadumy wyrwało mnie dopiero słowo „miłość”, które niespodziewanie padło z jego ust. Owo proste, dwusylabowe słowo zazwyczaj nie pasowało do niczego, o czym mówił; było niczym dumny paw w brudnym kurniku. Joe czasem wspominał o miłości i zawsze były to wypowiedzi, które burzyły mi krew w żyłach.

Uniosłem głowę i spojrzałem na niego ponad krzakiem czarnych porzeczek. Stał jak zwykle zgarbiony, przygaszony, z drobnym, kilkudniowym zarostem na bladej twarzy. Więzienny uniform wisiał na nim niczym na wieszaku, a rude włosy były tłuste i nieuczesane. Wyglądał okropnie. Wielkie sińce pod oczami i zapadnięte policzki świadczyły o wycieńczeniu, natomiast rozedrgane dłonie oraz łamiący się głos mogły być objawami załamania nerwowego. Jak długo jeszcze pociągnie? – musiałem zadać w myślach to pytanie. Od wielu lat pełnił tu rolę chłopca do bicia, najsłabszego ogniwa, którym

niemal każdy bez opamiętania pomiałał. Niekiedy było mi go żal, ale równie często czułem do niego niechęć, wręcz odrazę – nie potrafiłem określić, która z tych emocji zazwyczaj przeważała. Wolałbym jednak, żeby żył jak najdłużej, bo jeśli go zabraknie, wszystkie szykany, upokorzenia, złośliwości skupią się na mnie. Moje życie przerodzi się wtedy w istny koszmar, prawdziwą walkę o przetrwanie.

– ... przeniosła się do naszej szkoły, kiedy byliśmy w piątej klasie – mówił Joe, patrząc, jak strumień wody tryska z końcówki szlauchu. – Zmieniła szkołę, bo jej rodzice się rozstali. Ojciec został sam w starym mieszkaniu, a ona wyjechała razem z matką i jej kochankiem. Miała na imię Maya. Wpadła mi w oko od pierwszego wejrzenia. Jakby ktoś mnie w łeb obuchem trzasnął. Miałeś tak kiedyś?

– Chyba tak – bąknąłem niechętnie.

Najwyraźniej już wtedy miał słabość do dzieci – pomyślałem złośliwie. Dla nikogo nie było tajemnicą, że trafił tutaj za molestowanie nieletnich; w więzieniu tego rodzaju zbrodni nie sposób ukryć. Zawsze znajdzie się „życzliwy” klawisz, pałający nienawiścią do pedofilów, który szepnie słówko komu trzeba. Potem od razu przyszywają człowiekowi łatkę. Reputacja Joego zawędrowała wraz z nim nawet na pokład Nadira – i trudno wyjaśnić, jak tu dotarła, ponieważ oficjalnie nikt z załogi przed wejściem na statek nie miał prawa poznać życiorysów współtowarzyszy. Zapewne kolejna zasługa „życzliwego” klawisza... Joemu udowodniono ponad trzydzieści gwałtów, z których kilka skończyło się dla ofiar nie tylko poważnym uszczerbkiem na zdrowiu psychicznym, ale również obrażeniami fizycznymi: siniakami, zadrapaniami. Rudzielec jednak uparcie twierdził, że niczego złego nie uczynił. Niegdyś na Ziemi dorabiał jako katecheta w jakimś podejrzanym Kościele Chwały Jezusa, lecz nauczanie o bożym miłosierdziu raczej nie było sensem jego życia. Wolał wykorzystywać stanowisko do nawiązywania bliskich relacji z małymi dziewczynkami lub chłopczykami – płeć nie była istotna, liczyła się tylko młodość. Wiele razy przekonywał mnie, że nigdy nie skrzywdził żadnego dzieciaka. Utrzymywał, że swoich podopiecznych z kółka różańcowego kochał „najbardziej na świecie” i „prędzej oddałby życie, niż sprawił ból którejś z tych cudownych, bezbronnych istot”. „Miłość dorosłego człowieka do dziecka to coś naprawdę wspaniałego – powtarzał. – Może być czysta i niewinna, nieopierająca się w ogóle na uciechach cielesnych.” Czasem, kiedy opowiadał takie brednie, ciężko było mi opanować obrzydzenie do niego i do wszystkich plugastw, których niegdyś się dopuścił. Mimo to zawsze tłumiliłem w sobie pogardę, bo za każdym razem dochodziłem do wniosku, że nie powinienem go osądzać. W końcu ja

również miałem swoje na sumieniu i nie znalazłem się na pokładzie Nadira bez przyczyny. Poza tym kara, jaką ponosił, była naprawdę surowa.

– Czyli wiesz, jak to jest – ciągnął Joe. – Byłem wtedy gówniarzem. Miałem jedenaście lat. Potajemnie kochałem się w tej Mayi do końca szkoły. Cały czas myślałem tylko o niej, marzyłem, że może kiedyś, w jakichś przypadkowych okolicznościach, uda mi się ją poznać. Byłem dzieciakiem. Nie miałem odwagi podejść i zwyczajnie zagadać.

Miałem już dosyć tych wynurzeń, ale pohamowałem wszystkie nieprzyjemne komentarze, cisnące się na usta, i postanowiłem wysłuchać opowieści do końca. Chociaż byłem pewien, że do niczego sensownego nie prowadzi.

Joe mówił dalej:

– Czasem wyobrażałem sobie, że ona nagle mdleje, traci przytomność, ma jakiś wypadek lub coś podobnego, a ja, i tylko ja, przybywam jej dzielnie na ratunek. Przeprowadzam sprawnie pierwszą pomoc, sztuczne oddychanie usta-usta itp., itd. Rozumiesz?

– Mhm. – Coraz bardziej utwierdzałem się w przeświadczeniu o braku jakiegokolwiek pointy w tej historii.

Joe lubieżnie obliznął wargi – najwidoczniej wyobraził sobie sztuczne oddychanie usta-usta.

– Chodziło o to, że po takiej akcji ratunkowej dziewczyna byłaby mi dozgonnie wdzięczna. Sama chciałaby się ze mną umówić, bo przecież w końcu byłbym jej wybawcą. A ja oczywiście udawałbym skromność i powtarzałbym, że niczego nadzwyczajnego nie dokonałem... Ile razy marzyłem o czymś takim. Jednak nie muszę chyba mówić, że marzenia się nie spełniły.

– Domyślam się...

– Tak więc kochałem się w niej aż do ostatniej klasy i wyobraż sobie, że na balu pożegnalnym, pod sam koniec szkoły... Zapomniałem wcześniej powiedzieć, że na bal poszedłem z taką jedną Suzi. Była to córka sąsiadki i jednocześnie najlepszej przyjaciółki mojej mamy. Więc na tym balu okazało się, że Maya... leci na mnie. Wyobrażasz sobie?

– Nie – odbąknąłem, nie ukrywając znużenia.

Joemu to nie przeszkodziło.

– Podeszła do mnie jej koleżanka i powiedziała, że podobam się Mayi i jeśli chcę, mogę zaprosić ją do tańca; ona na to czeka i na pewno mi nie odmówi. Niesamowite, nieprawdaż?

– Mhm.

– I wiesz, co się stało?

Pokręciłem przecząco głową.

– Maya nagle przestała mi się podobać. W jednej chwili stwierdziłem, że nie jest w moim typie. Nie poprosiłem jej nawet do tego pieprzonego tańca. Upatrzyłem sobie inną koleżankę.

– Ale z ciebie łajza – rzuciłem i wybuchnąłem śmiechem. Joe śmiał się razem ze mną.

Chwila beztroski nie trwała długo. Za plecami usłyszałem nieprzyjemny wrzask:

– Ruszcie dupy, dziewczynki! Anselmo was wzywa!

Obejrzałem się i zobaczyłem Czachę. Idealnie gładka łysina błyszczała w świetle lamp, a na potężnej, końskiej szyi oraz na muskularnych barkach zawisł cień wiśni rosnącej nieopodal. Zawsze zastanawiałem się, ile ten facet musiał pochłonąć rozmaitych anabolików, aby tak wyglądać. Wzrostem przewyższał mnie o głowę, plecy miał dwa razy szersze, a bezrękawnik na jego piersi był napięty w takim stopniu, iż odnosiłem wrażenie, że materiał za chwilę nie wytrzyma i rozedrze się na kawałki. Respekt budziły również bicepsy o obwodzie zdecydowanie większym niż obwód moich ud. Oraz tatuaże pokrywające znaczną część ogromnego cielska – wprost nie można było wypatrzeć centymetra kwadratowego wolnego od różnego rodzaju wzorów, rysunków lub podobizn rozneglizowanych panienek.

Joe natychmiast odłożył szlauch i ustawił się za plecami Czachy. Ja wróciłem do zrywania porzeczek. Zazwyczaj wzywali tylko Joego, rzadko byłem im do czegoś potrzebny, więc uznałem, że również tym razem moja obecność będzie zbędna.

– Głuchyś jest, patałachu?! – wrzasnął Czacha, obrzuciwszy mnie pogardliwym spojrzeniem. Z masywnej szyi w moim kierunku groźnie spoglądały wyłupiaste ślepia warana z Komodo. – Rusz się, kurwa, i mykamy do Anselma!

Usłuchałem. Opuściliśmy sektor zieleni, zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy się w korytarzu obwodowym na środkowym pokładzie, skąd prowadziła prosta droga do strefy kwater. Gdy stanęliśmy u wejścia do kajuty Anselma, zza drzwi dobiegły nas krzyki. Czacha chwilę nasłuchiwał, zastygłszy z klamką w dłoni. Wreszcie postanowił wkroczyć do środka – pchnął drzwi i zrobił to z wrodzonym sobie brakiem wyczucia. Zawiasy rozpaczliwie jęknęły, a zaraz potem skrzydło drzwiowe z hukiem uderzyło w ścianę. Naszym oczom ukazało się wnętrze małego pokoiku. Kajuta Anselma nie odbiegała niczym od innych kwater: łóżko, niewielki stolik w kącie, szafka na ubrania, a wszystko otoczone brudnymi, metalowymi ścianami, z których odchodziła szara farba. Na pryczy siedziały dwie postacie. Sylwetki te nawet nie drgnęły; w najmniejszym stopniu nie

zareagowały na ogłuszający łomot, który towarzyszył otwieraniu drzwi. Kontynuowały swą ożywioną dyskusję, nie spojrzawszy w naszym kierunku.

– Myślałem, że umiesz grać w pokera?! – zapiszczał Gordon, rzuciwszy z irytacją wachlarz kart na stolik.

– No, bo umiem – zapewnił go Wisior.

– Gównu, a nie umiesz! Gdybyś umiał, to wiedziałbyś, że kareta jest wyższa od strita!

– Niemożliwe! Kto uczył cię grać, stary? Babcia?

– Grałem w pokera, gdy byłeś jeszcze w brzuchu matki.

– Jasne, grałeś z babcią i dziadkiem pewno.

– Zamknij mordę, bo już nie mogę cię słuchać! Nie dość, że jesteś skończonym debilem, to jeszcze wyklócasz się jak stara menda! Przegrałeś rozdanie i chuj! Więcej z tobą nie gram. Jeśli będzie ci się nudzić, pobaw się z tym pedałkiem, a mi daj, kurwa, spokój!

– Nie będę bawił się z żadnym pedałkiem! Nie kręć mnie takie rzeczy! Tylko raz spróbowałem, dawno temu, a ty wciąż mi to, kurwa, wypominasz!

Niesamowite – przemknęło mi przez myśl – rzną w pokera od tylu lat, a Wisior wciąż nie zna zasad. Ale z drugiej strony strit i kareta w jednym rozdaniu zdarzają się niezwykle rzadko.

Wisior naprawdę się wkurzył. Tętnice na jego skroniach pulsowały w rytm uderzeń serca, twarz nabrała żywszych kolorów. On traktuje serio takie idiotyczne sprzeczki? – pomyślałem. Wisior, podobnie jak Czacha, był roslym osiłkiem z ogoloną na łyso głową. Obaj spędzali mnóstwo czasu, ćwicząc w mesie. Często korzystali z hantli, ciężarków i innych przyrządów gimnastycznych, które mieliśmy na pokładzie Nadira. Jednak mimo że Wisior swoją posturą mógł budzić postrach, Czacha zdecydowanie przewyższał go wzrostem, masą mięśni i liczbą tatuaży.

– Przyprowaździłem tych obesrańców – nieśmiało zagadnął Czacha. Był wyraźnie speszony. Jak to możliwe, że ta ogromna góra mięśni czuje tak duży respekt przed Gordonem, który w gruncie rzeczy nie należy do ludzi postawnych? Odpowiedź na to pytanie była prosta: Anselmo darzył Gordona o wiele większym szacunkiem, dzięki czemu ów niewysoki, przygarbiony cwaniaczek zajmował dużo wyższą pozycję w tutejszej hierarchii. Już na pierwszy rzut oka Gordon sprawiał wrażenie spryciarza, w jego twarzy kryło się coś trudnego do zdefiniowania, jakaś wrodzona przebiegłość. Taki typ człowieka bez problemu odnajduje się w każdej sytuacji, zawsze wie, po czyjej stronie stanąć, by osiągnąć dla siebie maksymalną korzyść, wokół kogo się zakręcić i jak tego kogoś podejść fałszywymi pochlebstwami. Oczywiście Gordona bez ustanku rzucały chytre

spojrzenia, jakby chciały powiedzieć: „Uważaj! Masz do czynienia z nie lada cwaniakiem”. Wrażenie to potęgował orli nos i zrosnięte, krzaczaste brwi. Gordon kiedyś, na Ziemi, parał się handlem prochami. Został skazany za to, że razem ze swoimi gorylami zatłukł na śmierć kilku wyrostków, którzy nie byli w stanie spłacić długów zaciągniętych u niego na dragi.

– Pięknie – sarknął Gordon. – Ale po co przywlokłeś ich tutaj? Przecież mówiłem wyraźnie, że Anselmo czeka przy wejściu do Prezbiterium.

– Przy wejściu do Prezbiterium? – zdziwił się Czacha. – Na dolnym pokładzie?

– A jest jakieś inne Prezbiterium?

– Ale po cholere...?

– Nie dyskutuj, tylko zasuważ tam czym prędzej, bo szef jest dzisiaj nieźle wkurwiony. Jeśli będziecie się guzdrać, pewnie wkurwi się jeszcze bardziej.

Czacha odwrócił się i mocno pchnął Joego, tak że ten, nie będąc w stanie utrzymać równowagi, wyłożył się jak długi na metalowej podłodze.

– Rusz się, ciotko, i zapierdalaj! – wrzasnął, przęcając mięśnie na potężnym karku. – Słyszałeś, że nie mamy, kurwa, czasu! Ty też się rusz – warknął na mnie.

– Czaszeczko – zgrzytnął nieprzyjemnie głos Gordona.

Osiłek spojrzał pytająco na kolegę.

– Weź latarkę, bo inaczej poślizniesz się na własnych smarkach.

Czacha skinął głową. Gordon rzucił mu latarkę. W tym czasie ja pomogłem Joemu wstać.

Wyszliśmy z kajuty i ruszyliśmy korytarzem w kierunku schodów prowadzących na dolny pokład. Rzadko bywaliśmy na tym poziomie. Maszyny zajmujące większą część znajdujących się tu pomieszczeń chodziły bez zarzutu od dziesiątek ziemskich lat, zakłócając ciszę ledwo słyszalnym szumem silników. Wszystkie drzwi były zamknięte, skrywając tajemnice, których najwyraźniej, w zamyśle konstruktorów tego miejsca, nie mieliśmy prawa poznać. Korytarze tonęły w mroku, a w każdym ich zakamarku czaił się jedynie strach. Pamiętam, że na początku naszej feralnej podróży próbowaliśmy sforsować zamknięte drzwi dolnego pokładu, niestety nie dysponowaliśmy odpowiednimi narzędziami i nasze starania spełzły na niczym. Najsolidniejsze wrota znajdowały się na końcu głównego korytarza. Widniał na nich wytłoczony oraz pomalowany czerwoną farbą napis „PRZBT”. Dlatego pomieszczenie to nazwaliśmy Prezbiterium. Kolejną nieodgadnioną tajemnicą tego miejsca była maleńka klawiatura numeryczna, zlokalizowana w środkowej części korytarza. Jakby czekała, aż ktoś wprowadzi

odpowiedni kod. Tylko kto miał to zrobić i kiedy? I co stanie się po wybraniu właściwej kombinacji?

Zaczęliśmy śpiesznie przemierzać pogrążony w ciemnościach korytarz. Czacha szedł przodem, oświetlając latarką drogę przed nami. Joe i ja niepewnie stąpaliśmy tuż za nim. Dobrze wiedzieliśmy dokąd idziemy, choć chodziliśmy tędy niezwykle rzadko. Niespokojne myśli wciąż kłębiły się w mojej głowie. Czego może chcieć Anselmo? I czemu wezwał nas na dolny pokład? Nie wróżyło to niczego dobrego. Najniższy poziom statku zawsze napawał mnie przerażeniem, a teraz uczucie to potęgowała wizja pogaduszki z Anselmem pośród tonących w mroku korytarzy. Rozmowy z samozwańczym przywódcą rzadko należały do przyjemnych. Trudno było wywnioskować, co tym razem strzeliło mu do głowy.

Na skutek rozmyślań o konfrontacji z Anselmem dopadł mnie jeszcze większy strach. Jakaś niewidzialna siła chwyciła mocno za gardło i nie chciała puścić. Odniosłem wrażenie, że jestem sparaliżowany od pasa w górę – nogi dzielnie wykonywały swoją powinność, stawiając krok za krokiem, natomiast ręce kompletnie zeszywniały, a twarz zastygła w grymasie przerażenia. Obawiałem się, że nie będę w stanie wykrztusić z siebie ani słowa, gdy stanę przed Anselmem.

Wreszcie, po pokonaniu kolejnego zakrętu, na samym końcu korytarza dostrzegłem punktowe, nerwowo wierzące się światełko. Nietrudno było odgadnąć, że to latarka, którą trzymał w dłoni Anselmo. Czacha skierował wiązkę światła w tym kierunku. W ciemnościach zamajaczyły dwie sylwetki. Kiedy podeszliśmy nieco bliżej, rozpoznałem również drugą postać – był to Hernandez, prawa ręka Anselma. Obaj mieli śniadą cerę, ciemne oczy i czarne, krótko przystrzyżone włosy. Anselmo był nieco wyższy i lepiej zbudowany. Podobnie jak Czacha i Wisior nigdy nie nosił góry z więziennego uniformu. Obcisły podkoszulek, który miał na sobie, uwydatniał mięśnie i tatuaże. Gdy stanęliśmy obok niego, obrzucił nas groźnym spojrzeniem. Smoliste oczy zaiskrzyły, a czoło zmarszczyło się gwałtownie.

– Co to ma znaczyć? – warknął na Czachę.

– Co? – Osilek był zaskoczony.

– Kogo kazałem, kurwa, przyprowadzić?

– Gordon powiedział... Rozmawiałem tylko z Gordonem...

Anselmo spojrzął na Hernandeza. Ten wzruszył ramionami.

– Zleciłem to Gordonowi, ale powiedziałem wyraźnie, że chodzi o Logana. Nie wspominałem o nikim innym.

– Mogłeś załatwić to osobiście, do kurwy nędzy – syknął Anselmo, po czym znów zwrócił się do Czacha: – A ty zabierz stąd tę ciotę – wskazał palcem Joego – i zejdź mi z oczu.

– Ale to nie moja wina – bronił się wielkolud. – Gordon powiedział...

– Gordon!?! Kurwa mać! Jestem pewien, że Gordon tak nie powiedział!

Czacha zmilczał, przyjął reprimendę z miną uczeniaka.

– Powierzam wam proste zadanie! – ciągnął Anselmo. – Najprostsze! Prostsze, kurwa, nie mogę sobie wyobrazić, a wy jeszcze to spierdolicie. Nikomu nie chce się ruszyć dupska i pójść na górny pokład. Łatwiej, kurwa, wystugiwać się Czachą. Jebana banda leni.

Zerknąłem na Hernandeza. Nie odezwał się ani słowem, jednak jego mina mówiła bardzo wiele: zmarszczone czoło, zaciśnięte zęby. Duma została mocno nadszarpnięta, co widać było na pierwszy rzut oka, nawet w słabym świetle latarek. Czacha stał ze zwieszoną głową. Waran z Komodo na szyi osiłka również stracił rezon; przysła gdzieś drapieżność dzikiej bestii, która wyglądała teraz raczej jak malutka, niegroźna jaszczurka w domowym terrarium. W jednej chwili Czacha – potężny dryblas, który wzbudzał respekt samą swą posturą – wydał mi się bezbronny niczym dziecko. Przestałem zauważać wszystkie tatuaże i naprężone mięśnie, a zobaczyłem jedynie głupiutkiego człowieczka.

– Rusz się wreszcie – ofuknął go Anselmo – i zabierz stąd tę ciotę. – Pchnął nerwowo Joego.

Czacha burknął coś po cichu do Joego – nie byłem w stanie usłyszeć, co powiedział – po czym oddalił się razem z nim w stronę schodów na wyższy pokład.

– Debil – rzucił Anselmo, odprowadzając ich wzrokiem. Hernandez wciąż milczał.

– A ty patrz! – Anselmo zwrócił się do mnie, kiedy tamci zniknęli z pola widzenia. Snop światła latarki skierował na podłogę tuż pod drzwiami Prezbiterium.

Przez dobrych kilka sekund nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłem ślady butów – i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że jeden z nich znajdował się na progu, tylko w połowie po naszej stronie drzwi. Druga część skryta była za drzwiami Prezbiterium.

– Jasna cholera – zakląłem po cichu.

– No, właśnie! Jasna cholera! – powtórzył znacznie głośniej Anselmo. – Choć ja użyłbym nieco mocniejszego słowa.

Hernandez podrapał się po karku, patrząc w zadumie na odbity ślad podeszwy.

– Kto tam był? – zapytałem, kiedy pierwsze emocje ze mnie opadły.

Nie doczekałem się odpowiedzi.

– Chyba można to określić na podstawie tych śladów – ciągnąłem – rozmiaru buta, wzoru na podeszwie?

Anselmo obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

– Postaw stopę na jednym z nich – powiedział rozkazującym tonem.

Ostupałem. W jednej chwili obezwładniło mnie przerażenie, a serce podeszło do gardła. Czyżby mnie podejrzewał? – pomyślałem z niepokojem.

– No, kurwa, postaw! – wrzasnął jeszcze bardziej stanowczo.

Bez zwłoki wykonałem polecenie. Anselmo skierował latarkę wprost na moją stopę.

– I co? Pasuje? – zapytał.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Mogłem oczywiście od razu zaprzeczyć, co może i byłoby naturalną, wręcz instynktowną, reakcją, ale czyż nie o to mu chodziło? Czy nie chciał od razu zepchnąć mnie do panicznej defensywy? Sprawić bym zaczął histeryzować, bełkotać niezrozumiale? A potem rzucić mi w twarz wyświechtanym frazesem, zagrzmieć złowrogo: „Tylko winny się tłumaczy”. Wiedziałem, że teraz wystarczy jeden mój błąd, bym ugrzązł na niepewnym gruncie usprawiedliwień, podczas gdy on będzie napierał coraz mocniej i mocniej. To była jego metoda na złamanie każdego. I ta metoda zazwyczaj działała.

– Pasuje? – powtórzył pytanie, nieco bardziej nerwowo. Hernandez przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Moim zdaniem nie pasuje – powiedziałem ostrożnie.

– A twoim zdaniem? – Anselmo spojrzał na swego pomocnika.

– Nie wiem – odparł Hernandez. – Trudno powiedzieć.

– Ano właśnie – ucieszył się Anselmo. – Trudno powiedzieć.

Zdziwiła mnie ta nagła zmiana nastroju. Odetchnąłem z ulgą i na spokojnie przyjrzałem się śladom. Były rozmazane, niedokładnie odcisnięte, żaden z nich nie odzwierciedlał całej podeszwy. Im dalej od drzwi, tym były bledsze, aż w końcu po mniej więcej pięciu metrach nikły zupełnie. Najwidoczniej ktoś, będąc w Prezbiterium, wdepnął do jakiegoś pyłu, kurzu czy czegoś podobnego. Gdzieś widać było wyraźnie wzór podeszwy. Niestety na tej podstawie trudno będzie zidentyfikować sprawcę. Wszyscy tutaj nosimy ten sam rodzaj budów, przydzielanych systematycznie przez bezduszny automat.

Problem był naprawdę poważny.